

BEZ MASKI

Gdy w lustrze przegląda się kobieta,
widzi siebie. Gdy przed lustrem siada
aktorka, zobaczy Julię, Ofelię, Elektrę.
W nich wszystkich dostrzeże także prawdę
o sobie i rolach, które pisze
dla niej życie. TEKST **ANNA GRUŻEWSKA**

FOTOGRAFOWAŁ **FILIP MILLER**

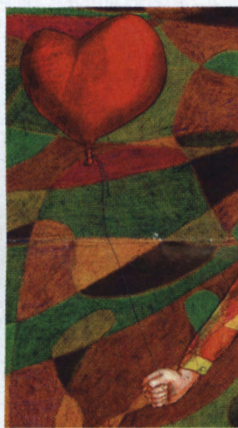
– Sama nie wiem, dlaczego nagle ktoś tak zrównoważony jak ja, zaczyna się tak zachowywać. Nie wystarczyły mi chwile kradzione z jego życia. Gdybym wtedy zachowała rozsądek, zauważyłabym, że ma mnie dość. Gdy przychodził, patrzył wciąż na zegarek. I nagle przestał dzwonić, nie odbierał moich telefonów. Minał tydzień, potem drugi. Pracowałam już w szpitalu i miałam dostęp do szafki z lekami. Systematycznie brałam po kilka tabletek. To były silne środki uspokajające. Wzięła ponad dwadzieścia sztuk. Zadzwoiła do Andrzeja. Nie odebrał telefonu. Nagrała mu na pocztę głosową słowa pożegnania. Nic więcej nie pamięta. Rano znalazła ją matka; dobrze, że miała klucze. Anna leżała w śpiączce ponad dwa tygodnie. Teraz do końca życia będzie na specjalnej diecie, bo ma ciężko uszkodzoną wątrobę. Andrzej pojawił się w szpitalu raz. Powiedział, że to wszystko nie ma sensu i nie zostawi żony i dzieci. – Wtedy naprawdę się przebudziłam – wspomina. – Szkoda że otwarcie powiedział mi to dopiero w szpitalu. Bardzo pomogła mi mama. Żałuję, że wcześniej wszystko przed nią ukrywałam. Wspierała mnie w powrocie do życia. Karmiła rosółem i gotowanymi warzywami. Później poradziła mi, żebym zapisała się na terapię do psychologa. Dzięki temu powoli zaczynam rozumieć siebie i to, dlaczego tak reagowałam, czemu oszalałam z miłości. Powoli pogodziłam się z odejściem Andrzeja. Noszenie w sobie nienawiści, toksycznych uczuć to najgorsze co można zrobić. Zrozumiałam, że gdy chce się niszczyć wszystko wokół siebie, przede wszystkim niszczy się siebie.

TELEFON W LODÓWCE

Marta ma sylwetkę modelki, czarny garnitur i 10-centymetrowe szpilki. Od dwóch lat prowadzi w Warszawie firmę zajmującą się *public relations*. Kilkanaście lat mieszkała w Danii. Dla miłości porzuciła obiecującą karierę. Tamtego lata spędzała urlop w Polsce. W przedostatni wieczór poszła ze znajomymi do modnego klubu. Przy wejściu każdy dostawał naklejkę z różnymi napisami, na przykład: „Figlara”, „Żigolo”, „Flirciarz”. Pod ścianą stał mężczyzna, który ciągle jej się przyglądał. Bawiła się doskonale. W końcu ośmielona drinkiem podeszła. – Zamiast tak stać, poflirtuj ze mną – zażartowałam. – Zapytał, czy możemy porozmawiać po angielsku, bo on jest Finem. Był udziałowcem koncernu medialnego. Krążył między Warszawą a Helsinkami. Na serwetce

napisał: „Jesteś aniołem, najpiękniejszą kobietą, jaką znam”. Potraktowała to jak żart. On jednak był całkiem poważny. Spytał, czy umówi się z nim jutro na kolację. – Już o 11 rano dzwonił i ustalał godzinę. Ubrałam się fatalnie, byłam nieumalowana. On czekał w eleganckim garniturze. Chwilę rozmawialiśmy i onieemiałam. Był szalenie interesujący. W restauracyjnej łazience błyskawicznie uczesałam się i zrobiłam makijaż. To ten, na którego czekałam 20 lat, pomyślałam.

Uparł się, że odwiezie ją pod dom cioci, u której mieszkała. Na miejscu zrywał kwiaty z trawnika i krzyczał: „Marto, jesteś fantastyczna”. Zbudził nie tylko ciotkę, ale wszystkich mieszkańców willowej dzielnicy. Pożegnali się gorącym pocałunkiem i umówili już w Danii.



– W samolocie pomyślałam, że teraz już mogę nawet spać. I tak jestem najszczęśliwsza na świecie, bo poznałam mężczyznę marzeń. Przyleciał do Kopenhagi w następny weekend. Spotykali się w Danii lub w Warszawie. Czuła, że fruwa kilka stóp nad

CZUŁAM SIĘ JAK KRÓLOWA, PANI ŻYCIA. DZIŚ WIEM, ŻE TO NIE BYŁA MIŁOŚĆ. MIOTAŁY MNĄ POCZUCIE KRZYWDY I ZAZDROŚĆ. TO BYŁO SZALEŃSTWO, KTÓREMU PODDAŁAM SIĘ BEZGRANICZNIE.

ziemią. Nigdy wcześniej nie zaznała tak intensywnego uczucia. Zachwycał ją inteligencją, dowcipem, urokiem. Nagle coś zaczęło się zmieniać. Nie dzwonił już tak często. Gdy rozmawiali przez telefon, był nadal czuły, miły. Wynajdował jednak powody, dlaczego nie mogą się znów zobaczyć. – Wcześniej opowiadał mi o eks-żonie, która zostawiła go z dwójką nastoletnich dzieci. Wsłuchiwałam się w te historie, starałam zrozumieć, współczuć. A on znów zamilkł. Napisałam list: „Wydaje mi się, że powinniśmy się zobaczyć”.

Im rzadziej dzwonił, tym częściej nękała go telefonami. Nie umiała żyć bez niego. Nienawidziła siebie za to, że dzwoni. Chowała słuchawkę do lodówki, ale i tak za chwilę ją wyjmowała. Zdarzały się dni, że kompletnie nic nie jadła.

– I wtedy wpadłam na szaleńczy pomysł – przyznaje. – Pojadę i zamieszkać w Finlandii. Będę blisko niego. W mojej firmie wszyscy onieemia. Ja, która robiłam karierę – czekały już na mnie awans i lepsza praca w Londynie – dokoonywałam niezrozumiałych dla nikogo czynów. Opracowałam plany i strategie marketingowe na fiński rynek. Przekonywałam szefów firmy: w Danii, Finlandii i nawet tego głównego w Stanach Zjednoczonych, że się tam przydam. Rzucałam się na niepewny grunt, w fińskiej firmie pracowały tylko trzy osoby. Zaproponowano mi też mniejsze pieniądze i wiedziałam, że tam będą dużo mniejsze możliwości rozwoju. Tamtejszy rynek był niewielki w porównaniu z duńskim. Spadałam w karierze o kilka stopni. Marta 1 stycznia 2000 roku wylądowała w Finlandii. Wyremontowała mieszkanie. Wiła przytulne gniazdko i nie przejmowała się, że zaczyna wszystko od początku. Nic się nie liczyło, bo przecież czekała na niego. Zaprosiła go na parapetówkę. Zadzwoił z Polski, że zepsuł mu się samochód i nie zdążył na samolot. Na imprezie powstrzymywała łzy, wstydziła się przed nowymi kolegami z pracy. – Jeśli można umrzeć z powodu złamanego serca to umierałam – przyznaje. – Za parę tygodni zadzwonił jeszcze raz. Zaprosiłam go na urodziny i znowu nie przyjechał.

Mijały miesiące. Marta poświęciła się pracy. Udało jej się rozwinąć fińskie biuro, zdobyć

klientów, choć jej kariera w porównaniu z duńską była dużo skromniejsza. W domu starała się o niczym nie my-

śleć, a i tak nie mogła o nim zapomnieć. Gdziekolwiek jechała, wypatrywała jego sylwetki. W tym roku wakacje znów spędzała w Polsce. Namówiła leciwą ciotkę na spacer na Starówkę do domu, w którym on mieszkał. Narysowały na klatce schodowej wielkie serce. W sierpniu dała sobie kolejny rok na oczekiwanie. Gdy się nie odezwie, spróbuje żyć bez niego, postanowiła. Nie odezwał się, a ona powoli wraca do życia. Już nie rezygnuje z zaproszeń na imprezy. Chodzi na basen, gra w tenisa, kupuje sobie nowe ubrania. Na jednym z treningów poznała headhuntera. Po kilku spotkaniach zaproponował jej ciekawą pracę w Polsce. Podjęła wyzwanie. Tu spotkała nawet znajomych ukochanego, ale nigdy nie spytała, co się z nim dzieje. Woli nie wiedzieć. ■

Drobny, prawie niewidoczny gest partnera sprawia, że Joanna Holcgreber zastyga w pozie Nike wiążącej sandały. Jej długie, gęste włosy, spięte nad czołem i rozpuszczone z tyłu, upodabniają ją do greckiej kory, dziewczyny uwiecznionej w kamieniu przez starożytnych rzeźbiarzy. Za chwilę Mariusz Gołaj wykonuje kolejny delikatny ruch. Lekko muskając czoło i plecy Joanny, sprawia, że przybiera ona postać Afrodyty, by za moment stać się etruską menadą. Ruchy aktorów są płynne, lekkie, a zmiana pól odbywa się bez widocznego wysiłku. Zapadł już zmrok. Na scenie Ośrodka Praktyk Teatralnych Gardzienice rozpoczyna się przedstawienie „Elektry”. Wszystkie dziewczyny biorące udział w spektaklu mają długie włosy, twarze wygładzone spokojem, mimo że za chwilę zaczną grać. Zamiast stać za kulisami, są już na scenie i patrzą wchodzącym widzom w oczy. Za moment pełnym głosem zaśpiewają grecką pieśń, zatańczą skoczną huculkę, pokażą brutalną scenę gwałtu. Nieduża sala gardzienickiego teatru sprawia, że widz czuje się, jakby był w samym sercu zdarzeń. Ten teatr nie jest dla ludzi obojętnych i aby go tworzyć, trzeba mieć pasję i upór. I talent. Trzeba żyć także w zgodzie z sobą.

SCENA ŻYCIA

Jedni mówią scena alternatywna, drudzy – offowa. Inni, że jest to po prostu teatr. Współczesne grupy teatralne skupione poza głównym nurtem scenicznym, choć wymykają się opisowi, są jednak zdecydowanie odmiennym światem. To teatr mobilny, grupy współczesnych nomadów, przemierzające świat, by grać na rozmaitych festiwalach i spektaklach plenerowych. To zgoda na bycie razem przez kilka miesięcy w roku, na spanie w hotelach, męczące podróże. To także zgoda na pewne odarcie z intymności, gdy co wieczór trzeba obnażyć na scenie duszę, a wieczorem nie można położyć się do własnego łóżka. To także przyzwolenie na to, by w pracy nie czekać na szybki zysk, lecz rezultat długotrwałych, rodzących się wspólnie poszukiwań. To z jednej strony świat niezwykle barwny, atrakcyjny, w którym można odnaleźć radość z częstego przemieszczania się i mieć ogromne zadowolenie z pracy nad sobą. To wreszcie męski świat, bo nie sprzyja zakładaniu gniazda, tworzeniu trwałych więzi, budowaniu rodziny. Jednak w tym męskim otoczeniu są kobiety, które nie rezygnują z siebie i sztuki. Drobnymi, lecz silnymi dłońmi trzymają za sznurki rodziny, miłości, sceny. Heroiny nowej sztuki, aktorki sceny alternatywnej. Matki – nomadki. W głowie sztuka, dziecko na ręku. Środowisko teatrów alternatywnych to świat, w którym nie ma miejsca na rolę słabej kobietki, dziewczynskie fochy. Tradycyjnie to mężczyźni – obieżyświaty, łatwiej wchodzili w rolę buntowniczych pięknoduchów, dla których są

✓ Ewa Wójciak jest dzieckiem kontrkultury. Kiedyś zaczytywała się pismami rewolucjonistów. Dziś jest dyrektorką teatru.

podróż i dziewczyny, wiecznie czekające. Gotujące zupy, leczące kaca, znoszące nerwy i rozstania. Kobieta na scenie, kobieta w podróży, kobieta w płomieniach (jak w „Arce”), kobieta na szczudłach (jak w „Carmen Funebre”)? Na to może sobie pozwolić niewiele z nich. Dlatego wśród teatrów alternatywnych tak mało jest kobiet. Tak mało jest kobiet z dziećmi. Tak dużo jest mężczyzn, których domami zajmują się ich żony. Tymczasem kobiety wkraczające na serio w teatr, nie chcą nic



tracić. Być może dlatego, że to sztuka dogoniła je, a nie one sztukę. Żadna jednak nie ma mężczyzny spoza teatru. Wszyscy związani ze sceną: scenografowie, muzycy, reżyserzy, czujący jej podskórny rytm, nierówne tętno zwyczajnych dni i przedpremierowej gorączki. Tylko oni mogą zaakceptować brak obiadu na stole, choć ich kobiety przeważnie

lubią gotować. Dobrze znają czas rozchwiania, gdy nie wychodzi rola, gdy trzeba próbować, a pierwotny zamysł nie sprawdza się na scenie. Dlatego tak mało jest związków, które wytrzymują próbę, gdy wchodzi w nie ktoś spoza teatru. To bycie razem jeszcze bardziej potęguje bycie w grupie, sprawia, że związek jest jej częścią.

GRY SEZONOWE

Czym jest grupa teatralna? Komuna, grupą przyjaciół, zakonem idei? Ewa Wójciak, dyrektor Teatru Dnia Ósmego, jednej z najważniejszych polskich grup, mówi, że kiedyś wyobrażała sobie ich zespół niczym kontestującą świat wspólnotę. Za nic miała rodzinę i jej, jak wówczas sądziła, mieszczańskie nawyki. Zacztywała się pismami rewolucjonistów. Ona i przyjaciele byli dziećmi kontrkultury, głoszącymi, że życie w grupie ma wyższą wartość od indywidualnego. Przez kilkanaście lat żyła wyłącznie teatrem. Nie miała dzieci, od mężczyzn nie oczekiwała, aby naprawiali kran w domu, lecz by byli jej partnerami w sztuce. Dziś ma dorastającą córkę i syna. I psa. I teatr, któremu tak wiele w życiu zawdzięcza, ale który również wymaga wielu poświęceń. To dla niego zostawia dzieci nawet na cztery, pięć miesięcy w roku. Gdy Julia i Piotrek byli mali, wyjeżdżali z mamą w trasy. Teraz, gdy mają szkołę, zostają. Ewa Wójciak przyznaje, że zawsze strasznie do nich tęskni. Choćby była w najpiękniejszych miejscach i odnosiła największe sukcesy, wie, że dzieje się to kosztem jej miłości do dzieci, zwłaszcza że często opuszcza je, gdy one najbardziej jej potrzebują. Pełnia sezonu teatralnego zbiega się bowiem w czasie z zakończeniem roku szkolnego. Julię i Piotra trzeba otoczyć wsparciem, tymczasem ona gra gdzieś daleko.

Marta Strzałko z poznańskiego teatru Biuro Podróży jest mamą czteroletniego Wiktora. Przez trzy lata nie rozstawała się z synem. Zwiedził z nią: USA, Egipt, Koreę i wiele innych państw. Jego paszport wypeł-

niony jest pieczętkami. – Prawda jest jednak taka, że wyjazdy z małym dzieckiem są niezwykle uciążliwe – mówi Marta Strzałko. – Nie chciałabym przy tym, aby moje słowa zostały uznane za skargę. Tak po prostu jest. Od urodzenia Wiktora byliśmy nierozłączni i był to mój bardzo świadomy wybór. Wiedziałam, że będę zostawała w hotelu, gdy kole-dzy pójdą wieczorem posiedzieć sobie w knajpie, że oprócz moich normalnych obowiązków – dbania o kostiumy, rekwizyty, pomoc w mon-



Joanna Holcgreber znalazła w sobie siłę i determinację, które pozwoliły jej dołączyć do teatru w Gardzienicach. Tu także jest jej dom.

tażu, będę jeszcze musiała zając się synem. A to nie jest łatwe na placu, na którym rozstawia się scenografię, gdzie jeżdżą samochody, używa się różnych narzędzi i gdzie nie można spuścić dziecka z oka. Jednak od-kąd syn poszedł do przedszkola, Marta Strzałko rzadko zabiera go ze sobą w zagraniczne trasy. – Dla Wiktora ważny jest teraz ustalony porządek dnia, pewne rytuały, a tego nie mogę mu zapewnić. Gdy wieczorem gramy spektakle, a później demontujemy scenografię, syn zostaje z tatą w domu. Nie boję się zmęczenia, pracy fizycznej, długich wyjazdów, ale teraz gdy nie ma go ze mną, to bardzo za nim tęsknię. Rozłąkę z synem przeży-wam naprawdę bardzo mocno.

ALTERNATYWNE ROLE

Imperatyw. Konieczność działania to chyba jedyna, ale jakże ważna wspólna cecha aktorek z grup alternatywnych. Przeważnie nie kończą szkół aktorskich i teatr jest dla nich prawdziwym, życiowym wyzwaniem. Dochodzą do niego pełnymi wy-boi, krętymi ścieżkami, by za chwilę otrzeć się o słoneczną iluminację na scenie. Tak do Ośrodka Praktyk Teatralnych Gardzienice zdążyła Joanna Holcgreber, łódzianka studiująca we Wrocławiu fizjoterapię. Była tuż przed dyplomem i wraz z grupą kolegów negocjowała kontrakt do Stanów, gdy jedna ze znajomych pojechała do Gardzienic. →

Wyjechała zwyczajna dziewczyna, wróciła z jaśniejącą twarzą, promienna, uduchowiona. Ten bijący od niej blask sprawił, że sama postanowiła doświadczyć czegoś podobnego. Niezwiązana ze środowiskiem teatralnym, ledwie podskórnie czująca swoje przeznaczenie, dokonała prawdziwych cudów, by dostać się na zamknięty pokaz Ośrodka Praktyk Teatralnych i jego warsztaty we Wrocławiu. Jak urzeczona patrzyła na tak zwany trening wzajemnościowy – opracowaną przez Włodzimierza Staniewskiego metodę pracy aktorów. Jej, prawie dyplomowanej fizjoterapeutce, nie było obce kształtowanie ciała, lecz niezwykle wydało jej się to, że ruch wynikał ze wspólnoty psychicznej aktorów. Między nimi była jakaś fosforyzująca nić, więc niewidoczna, a jednak wyczuwalna. Czy w tym momencie zmienił się jej świat? Nie, to nie było trzęsienie ziemi. W tej chwili dopiero rozpoczęła swoją drogę pod górę. Nie pomagała jej w tym odległość Lublin-Wrocław. Jednak znajdowała w sobie wewnętrzną siłę, która pchała ją w stronę teatru. To ona pozwoliła jej wyblagać miejsce na warsztaty, na które lista była już zamknięta od dawna. Dzięki tej sile jako pierwsza zdawała egzamin dyplomowy na wrocławskiej uczelni. Tuż po nim wsiadła do pociągu do Lublina i przejechała ciemną, bezgwiezdną nocą pięć kilometrów do Gardzienic z miejscowości Piaski, do której zawiózł ją ostatni autobus.

Również Marta Strzałko początkowo nie widziała dla siebie miejsca na scenie. Studentka skandynawistyki obejrzała pierwszy spektakl młodego teatru robionego przez jej rówieśników. Co wówczas poczuła? Wielkie pragnienie, by poznać jego twórców, którzy tak dokładnie wyrażali jej sposób widzenia świata. Mimo iż teatr Biuro Podróży był grupą dość zamkniętą, próbowała się z tymi ludźmi poznać. Ona nabrała zaufania do nich od razu, jeszcze po spektaklu. Im nabranie zaufania do niej zajęło więcej czasu. Zaprzyjaźnili się. Potem zaczęła im pomagać, przyszły pierwsze role. *Gutta cavat lapidem...* kropla drąży skałę. Marta, drobna Marta z zadartym nosem, jest niczym taka uparta kropla. Gdzie Biuro Podróży, tam i ona, przez długich piętnaście lat. Dziś jest jedną z najważniejszych osób w teatrze.

SCENOGRAFIA CODZIENNOŚCI

Przygotowanie „Arki”, plenerowego spektaklu poznańskiego Teatru Dnia Ósmego, zajmuje osiem godzin. Demontaż cztery. Grają półtorej godziny. Co w tym czasie robi Ewa Wójciak, dyrektorka grupy? To samo, co wszyscy – buduje scenografię, choć przyznaje, że nie lubi prac technicznych, owego wiecznego majsterkowania, niezbędnego, gdy gra się kilka miesięcy w roku spektakle plenerowe. Jednak ona wychodzi z założenia, że w grupie nie ma równych i równiejszych. Jak jest do wykonania praca i osiem osób w zespole, robotę dzieli się przez osiem.

– Jestem najsłabszym ogniwem, jeśli chodzi o kwestie konstruktorskie, lecz zawsze pracuję w grupie, gdyż należę do tych osób, które decydując się na coś, robią to do końca. My jesteśmy z teatru, który sam sobie budował przestrzeń do pracy. U nas nie było nigdy technicznych, garderobianych. Nie cierpię śrubek, nie umiem obchodzić się z młotkiem, nie mam cienia męskiego talentu do tych spraw, jednak gdy trzeba, potrafię zakasać rękawy – mówi. Pani Ewa, blondynka ze spiętymi w kok włosami, w delikatnych szarościach, ze srebrnym jubilerskim drobiazgiem podkreślającym jasną karnację, pije kawę z błękitnej filiżanki. Z tyłu wazon z niebieskimi kampanulami i okno z widokiem na poznańską ulicę. Portret damy? Bezsprzecznie. Tyle że za plecami ma dwadzieścia lat historii teatru alternatywnego w Polsce. Kim była

przez ten czas? Studentką polonistyki, dziewczyną reżysera, śliczną blondynką obciętą na pazia, pozbawioną paszportu wicherzycielką, emigrantką, aktorką i matką. Aktorką i matką jest do dziś. Fryzurę na pazia zastąpiły półdługie włosy, o dobrej „plastycznej” długości, w zależności od roli można je spiąć lub nosić rozpuszczone. Nie zmienił się jej bezkompromisowy sposób widzenia świata, choć jak przyznaje, złagodziła nieco sposób oceniania innych. – Gdy byłam młodsza, byłam bezkompromisowa – mówi Ewa Wójciak. – Z wiekiem przybyło mi tolerancji, umiejętności dystansowania się wobec różnych spraw, a także nauczyłam się patrzeć na ludzi pod zupełnie nowym kątem. Kiedyś nie lubiłam kobiet, wydawało mi się, że większość z nich jest głupia, nie ma zainteresowań społecznych, że kobiety dążą tylko do tego, by sobie i rodzinie zapewnić małą stabilizację. Pogardzałam tymi, które były ślepo uzależnione od mężczyzn. Teraz też tego nie lubię, ale nauczyłam się doceniać kobiety i je rozumieć. Jednak w zespole to Ewa Wójciak jest jedyną kobietą, w dodatku rozdającą karty.

NAGOŚĆ KOSTIUMU

Teatr alternatywny to teatr nocy. Wykorzystuje światła i pochodnie. W gardzienickim Ośrodku Praktyk Teatralnych podczas przedstawienia „Elektry” za scenografię służy sześć wysokich krzeseł przypominających trony. Do opowiedzenia historii tytułowej bohaterki w zupełności wystarczą. Potrzeba jeszcze aktorów, ich głosów i ciał. Wśród rekwizytów jest dziewiętnastowieczne harmonium, na której Anna-Helena McLean podaje ton zarówno do skoczego walczyka, jak i żalobnego trenu. W takim teatrze gra się blisko widza. Gdy aktorka ma prześwitującą bluzkę, widać jej piersi. Gdy się starzeje, nie ma jak ukryć zmarszczek. Tu widać każde napięcie mięśni, ruch, zwłaszcza ten fałszywy. To gra, w której nie można nic odfajkować, odpuścić sobie, zatańczyć na półgwizdka, zaśpiewać półgębkiem. Jeśli widz siedzi w odległości dwóch metrów od aktorów, to koniec udawania. Albo się wchodzi w rolę, albo pasuje. Nie ma półśrodków. – Publiczność jest dziesiątym członkiem naszego zespołu – mówi Marta Strzałko. – Dziesiątym aktorem. Gramy tak blisko niej, że widzimy emocje malujące się na twarzach widzów. Natomiast dla Aliny Gałązki z warszawskiej Komuny Otwock najbardziej udane spektakle to te, w których nie dostrzega się publiczności. – Gdy potrafimy się ze sobą naprawdę dobrze zestroić, grać rzeczywiście razem, całkowicie panować nad przebiegiem spektaklu, wtedy nie rejestruję rzeczywistości. Gdy zaczynam obserwować widzów, wtedy wiem, że coś się sypie. To, że Alina nie obserwuje widzów, nie znaczy, że nie zdaje sobie sprawy, jak blisko nich się znajduje. W klasycznym teatrze jest rampa, granica sceny, oddalenie pierwszego rzędu foteli. Scena alternatywna nie daje szans na ukrycie twarzy pod grubą maską pudru, ciała pod kostiumem. Aktorki mają tego świadomość, czasem bolesną. Z mężczyznami czas obchodzi się łagodniej. Teatr offowy wymaga większej sprawności fizycznej, wykorzystywania ciała w stu procentach. Dopóki sobie radzisz, możesz grać. Później trzeba się wycofać. Marta Strzałko zarzeka się, że uda jej się uchwycić moment rozstania ze sceną, wie jednak, że nie opuści teatru. Jest w nim przecież bardzo dużo do zrobienia, począwszy od spraw administracyjnych, po tłumaczenia, szykowanie kostiumów. Dla teatru Biuro Podróży gotowa jest wykonać każdą pracę. Wszak lepiej wycofać się w świetle jupiterów, niż do ostatka oświeślać się na scenie płomykiem świeczki.

Sztuka, którą uprawiają, jest bezustannym łamaniem barier. Barier duszy. Wszystko, co wnosimy w świat jako dorastające kobiety, na scenie wydaje się balastem. Rezerwa, ukrywanie emocji, dystans. Ich teatry opowiadają o antycznej tragedii, wojennej historii, dwudziestowiecznej agresji. Do tego nie potrzebne jest dobre wychowanie. Raczej trzeba umieć wrzeszczeć albo szeptać. Obnażyć się, pokazać gwałt bez słów, donośnie szlochać. Całe życie uczono je, że to są emocje, które zostawia się za drzwiami zamknięte na klucz. A one uparcie dzielą się nimi z wi-



dzami. Także same z sobą. Joanna Holcgreber razem z Anną-Heleną McLean śpiewają nieraz twarz przy twarzy. Wręcz namacalnie czują dźwięki, które wydobywają. Joanna mówi, że otwarcie się na partnera, dostrzeżenie w nim piękna są kluczem do sukcesu na scenie. – Niech liczy się on, nie ja. Gdy zrobię wszystko, by to jemu wychodziło, to i mnie

się uda – stwierdza. Alina Gałązka swój czas dzieli między Komunę Otwocką a pracę w fundacji Klon-Jawor. Jest drobna, krucha, w okularach, które nadają jej twarzy wyraz zagubionej uczennicy. Dla niej spektakle były naturalną drogą ewolucji pewnej wspólnoty osób. – Kiedyś mówiliśmy o sobie wspólnota myśli i działań, teraz pod pewnymi aspektami oddalamy się od siebie, jednak teatr pozostał. Dla Aliny teatr jest nie tylko pokonywaniem kolejnych barier, choć ona na przykład myślała, że nigdy się nie odezwie na scenie. Uważała, że głos jest narzędziem

zarezerwowanym dla profesjonalnie wykształconych aktorek. Jednak w miarę, jak teatr ewoluował, również w niej zachodziły przemiany. Gdy okazało się, że przedstawienia „Perechodnik – Bauman” nie da się zrobić bezgłośnie, zdecydowała się przemówić na scenie. Ile ją to kosztowało? Dużo, choć nie będzie próbować podliczać. Dla niej granie oznacza konieczność podejmowania wyborów. Wolne popołudnie czy próba? Koncert czy zajęcie z hatha-jogi, która pozwala

Marta Strzałko
przez trzy lata
nie rozstawała się
z synem. Wiktor
zjeżdżał z teatrem
Biuro Podróży
pół świata.
Rozpoznaje mamę
na scenie i na swój
dziecinny sposób
komentuje jej role.

jej utrzymać się w formie? Najczęściej pada odpowiedź: próba, teatr, przedstawienie. Alina ma świadomość, że może sobie na to z taką intensywnością pozwolić, gdyż nie ma dzieci. Jednak teatr nie jest zamiast. To nie terapia przez sztukę.

SZTUKA PRZEMIANY

Dlaczego są w ciągłych rozjazdach, rozstają się z dziećmi, które tak na nie czekają? Co je pcha na drugi kontynent, by przez kilka chwil odgrywać miraż światów. Wszystkie są zgodne, że płacą swoją cenę za bycie z ludźmi, dla których ważne są ich role. Godzina lub dwie spektaklu potrafią odmienić czyjeś życie. Zadziwia je i wciąż zachwyca, że ich sztuka rozumiana jest bez względu na szerokość geograficzną, że pewne prawdy są wspólne, niezależnie od miejsca. Nieważne, czy grają w Korei, Argentynie, USA czy Anglii, po spektaklu widzowie podchodzą do aktorów, rozmawiają, dziękują. Mówią, że dzięki nim w kilkadziesiąt minut zrozumieli swoje życie i chcą się zmienić. Ten kontakt jest tak głęboki i intensywny, że dla niego gotowe są na wszelkie wyrzeczenia. Długie podróże, ból rozstania z dzieckiem, zmęczenie. Występ i czas po nim są ich nagrodą.

Po spektaklu w Gardzienicach, gdy niebo świeci północnymi gwiazdami, publiczność zapraszana jest do starej chaty na poczęstunek. Młode aktorki wnoszą misy pełne dymiących pierogów i nakładają je gościom na talerze. Przed chwilą grały na scenie, teraz goszczą publiczność. Wokół nich jest głęboka noc, przed nimi decyzja, co robić w życiu. To jeszcze moment, kiedy można powiedzieć sobie stop. Wrócić do dawnego świata. Zasnurować się w gorsecie konwenansów i tylko od czasu do czasu głębiej odetchnąć. Zrzucenie tego, wypłatanie się z fiszbin zależności jest trudne. Łatwiej jest być aktorką domowych pieleszy niż reżyserem życia. Kto jednak raz poczuje smak wolności, krzyknie pełną piersią na teatralnej scenie, poczuje, że warto. Dla widzów. Dla siebie. ■